

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

PIRAMIDY

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT
PIRAMIDY

Przełożył
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:
PYRAMIDS

Copyright © Terry and Lyn Pratchett 1989
First published by Victor Gollancz Ltd, London.

Projekt okładki
Zombie **S**putnik **C**orporation

Ilustracja na okładce:
Josh Kirby

Redakcja:
Jacek Ring

Redakcja techniczna:
Elżbieta Babińska

Korektor:
Michał Załuska

Skład komputerowy:
Anna Pianka

ISBN 978-83-7648-726-7

Fantastyka

Wydawca:
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Tego samego autora polecamy:

KOLOR MAGII

★

BLASK FANTASTYCZNY

★

RÓWNOUMAGICZNIENIE

★

MORT

★

CZARODZICIELSTWO

★

ERYK

★

TRZY WIEDZMY

★

PIRAMIDY

★

STRAŻ! STRAŻ!

★

RUCHOME OBRAZKI

★

NAUKA ŚWIATA DYSKU I, II I III

★

KOSIARZ

★

WYPRAWA CZAROWNIC

★

POMNIEJSZE BÓSTWA

★

PANOWIE I DAMY

★

ZBROJNI

★

MUZYKA DUSZY

★

CIEKAWY CZASY

★

MASKARADA

★

OSTATNI BOHATER

★

NA GLINIANYCH NOGACH

★

WIEDZMIKOŁAJ

★

WOLNI CIUTLUDZIE

★

BOGOWIE, HONOR,
ANKH-MORPORK

★

OSTATNI KONTYNET

★

CARPE JUGULUM

★

PIĄTY ELEFANT

★

PRAWDA

★

ZŁODZIEJ CZASU

★

ZIMISTRZ

★

STRAŻ NOCNA

★

POTWORNY REGIMENT

★

PIEKŁO POCZTOWE

★

ŁUPS!

★

ŚWIAT FINANSJERY

★

HUMOR I MĄDROŚĆ
ŚWIATA DYSKU

★

NIEWIDOCZNI AKADEMICY

★

ZADZIWIĄJĄCY MAURYCJ
I JEGO EDUKOWANE GRYZONIE

★

W PÓLNOC SIĘ ODZIEJĘ



CZĘŚĆ I
Księga Wyjścia



Nic tylko gwiazdy, rozsypane w mroku, jakby Stwórca rozbił szybę w swoim samochodzie i nie zatrzymał się, żeby zmieść odłamki.

To otchłań między wszechświatami, lodowata głębia kosmosu, zawierająca jedynie z rzadka jakąś przypadkową molekułę, kilka zagubionych komet i...

...krąg czerni przesuwają się lekko, oko na nowo ocenia perspektywę, i to, co wydawało się niezmierną dalą międzygwiazdnej... czegoś międzygwiazdnej, staje się światem okrytym nocą, a jego gwiazdy to światła tego, co litościwie nazwiemy cywilizacją.

Świat sunie leniwie i okazuje się, że jest on światem Dysku – płaskim, okrągłym, niesionym przez kosmos na grzbietach czterech słoń, stojących z kolei na skorupie Wielkiego A'Tuina, jedyne go żółwia, który figuruje na diagramie Hertzsprung–Russella, żółwia długiego na dziesięć tysięcy mil, obsypanego szronem martwych komet, z krostami kraterów meteorytowych i oczami mającymi albedo. Nikt nie zna przyczyny tego stanu rzeczy, ale prawdopodobnie jest kwantowa.

Wiele z tego, co dziwne, może się zdarzyć w świecie jak ten, umieszczonym na grzbiecie żółwia.

Już się zdarza.

Gwiazdy w dole to ogniska na pustyni i światełka małych wiosek w wysokich górach. Miasteczka to niewyraźne mgławice, miasta to ogromne konstelacje. Wielkie, rozległe miasto Ankh-Morpork, na przykład, błyszczy jak zderzające się galaktyki.

Tu jednak, z dala od głównych skupisk ludności, gdzie Okrągłe Morze styka się z pustynią, błyszczy linia zimnego błękitnego ognia. Ku niebu wznoszą się płomienie lodowate jak zbocza Piekła. Upiorne światło migocze na piasku.

To piramidy w starożytnej dolinie Djelu oddają w ogniu swoją moc.

Energia spływająca z ich parakosmicznych wierzchołków może – w dalszych częściach – rozjaśnić wiele tajemnic: dlaczego żółwie nienawidzą filozofii, dlaczego przesadna religijność źle wpływa na kozy i co naprawdę robią podręczne.

Z pewnością wyjawi, co nasi przodkowie by pomyśleli, gdyby żyli do dzisiaj. Ludzie współcześni często spekulują na ten temat. Czy podobałoby im się nowoczesne społeczeństwo, pytają; czy zachwyciłyby ich nasze zdobycze? Oczywiście, pomija to kluczowe zagadnienie. Nasi przodkowie, gdyby żyli do dzisiaj, myśleliby: „Dlaczego tu jest tak ciemno?”



Najwyższy kapłan Dios otworzył oczy w chłodzie poranka. Od pewnego czasu prawie nie sypiał. Nie pamiętał już, kiedy spał po raz ostatni. Sen był zbyt podobny do tego drugiego stanu, a zresztą i tak go nie potrzebował. Wystarczyło trochę poleżeć – a w każdym razie poleżeć tutaj. Trucizny zmęczenia zniknęły jak wszystko pozostałe. Na pewien czas.

Ale czas dostatecznie długi.

Zsunął nogi z płyty w swojej małej komorze. Niemal bez świadomego ponaglenia mózgu, prawa dłoń chwyciła oplecioną wężami laskę, symbol jego urzędu. Dios zatrzymał się jeszcze, by wydrapać kolejny znak na ścianie, owinął się szatą i dziarsko ruszył pochylonym korytarzem na zewnątrz. W myślach układały się już sło-

wa Inwokacji Nowego Słońca. Noc minęła, nadchodził dzień. Wiele rad i wskazówek czekało, by ich udzielił, a Dios żył tylko po to, by służyć.

Dios nie miał najdziwniejszej sypialni na świecie. Była to jedynie najdziwniejsza sypialnia, z której ktokolwiek wyszedł.



Słońce sunęło po niebie.

Wielu ludzi zastanawia się, dlaczego to robi. Niektórzy sądzą, że popycha je gigantyczny skarabeusz. Temu wyjaśnieniu brakuje jednak pewnej technicznej dokładności. Ma także tę wadę, że – jak wykażą niektóre wydarzenia – może być w istocie prawdziwe.

Słońce dotarło do zachodu i nic szczególnie nieprzyjemnego mu się nie zdarzyło*, a jego przygasające promienie przypadkiem błysnęły przez okno w mieście Ankh-Morpork i odbiły się od lustra.

Było to lustro wysokości człowieka. Wszyscy skrytobójcy mają w pokojach takie duże lustra, ponieważ byłoby dla człowieka straszliwą obrazą, gdyby został zabity przez kogoś nieodpowiednio ubranego.

Teppic przyjrzał się sobie krytycznie. Wszystkie pieniądze wydał na kostium z czarnego jedwabiu. Kostium szeleścił bardzo cicho przy każdym ruchu. Był całkiem niezły.

Przynajmniej ból głowy ustawał. Dręczył dziś Teppica od samego rana i chłopak bał się, że wystartuje do biegu i fioletowe plamki będą mu migać przed oczyma.

Westchnął, otworzył czarne puzderko, wyjął pierścienie i wsunął je na palce. Inne pudełko mieściło w sobie zestaw noży z klatchiańskiej stali, o ostrzach przyczernionych kopciem z lampy. Rozmaite chytre i skomplikowane aparaty wysuwał z aksamitnych mieszkań i wsunął do kieszeni. Dwa *tlingas* o długich ostrzach, służące do rzucania, trafiły do pochewek w butach. Cienką jedwabną linę ze składaną kotwiczką Teppic owinął wokół pasa, na kolczudze. Dmuchawkę na skórzanym rzemieniu zawiesił na plecach i ukrył pod płaszczem. Zabrał też cienki metalowy pojemnik z kom-

* Na przykład zakopanie w piasku i złożenie w nim jaj.

pletem strzałek; ich ostrza były zabezpieczone korkiem, a drzewca oznaczone kodem Braille'a dla łatwej identyfikacji w ciemności.

Skrzywił się, sprawdził klingę rapiera i zawiesił go na bandolecie przerzuconym przez prawe ramię, by zrównoważyć ciężar worka ołowianej amunicji do procy. Po namyśle otworzył szufladę komody, wyjął pistoletową kuszę, buteleczkę oliwy, zestaw wytrychów, a po krótkim wahaniu dodał też sztylet, mieszek różnych rozmiarów kolczastych kulek i kastet.

Sięgnął po kapelusz, sprawdził, czy pod podszewką znajduje się kawałek drutu. Potem wcisnął go zawadiacko na głowę, po raz ostatni z satysfakcją spojrzął w lustro, odwrócił się na pięcie i bardzo powoli upadł na podłogę.



W Ankh-Morpork trwało upalne lato. Właściwie było nawet bardziej niż upalne. Było cuchnące.

Wielka rzeka zmieniła się w gęstą jak lawa maź pomiędzy Ankh, częścią miasta z lepszymi adresami, i Morpork na drugim brzegu. Morpork nie miało dobrych adresów. Morpork było miastem bliźniaczym dołu ze smołą. Niewiele można było uczynić, by zmienić Morpork w gorsze miejsce. Bezpośrednie trafienie meteoritem, na przykład, zostałyby uznane za renowację.

Większą część rzecznej koryta pokrywała warstwa popękane-go, zaschniętego błota. Za dnia słońce przypominało wielki miedziany gong przybity do nieba. Żar, który wysuszył rzekę, smażył miasto za dnia i dopiekał nocą, przypalał stare deski, zmieniał tradycyjne uliczne błoto w drobny, duszący pył koloru ochry.

Taka pogoda nie była typowa dla Ankh-Morpork. Ze swej natury miasto miało bowiem skłonności do mgieł i mżawek, deszczów i chłodów. Teraz dyszało ciężko niby ropucha na piecu. I nawet w tej chwili, koło północy, upał nie zelżał, okrywając ulice niczym zwęglony aksamit, przypalając powietrze i tłumiąc oddech.

Wysoko na północnej ścianie budynku Gildii Skrytobójców zabrzmiało ciche szcęknięcie i jedno z okien stanęło otworem.

Teppic, który z ciężkim sercem pozbył się co bardziej masywnych elementów uzbrojenia, głęboko wciągnął do płuc gorące, stęchłe powietrze.

Nadszedł czas.

Nadeszła ta noc.

Mówili, że człowiek ma jedną szansę na dwie, chyba że egzaminatorem będzie stary Mericet, gdyż wtedy równie dobrze można od razu poderżnąć sobie gardło.

Mericet w każdy czwartek po południu wykladał Strategię i Teorię Trucizn, a Teppic nie radził sobie z tym najlepiej. Internaty aż szumiały od plotek o Mericecie, o liczbie zabójstw, o niesamowitej technice... W swoim czasie Mericet pobił wszelkie rekordy. Podobno zabił nawet Patrycjusza Ankh-Morpork. Nie obecnego, ma się rozumieć. Jednego z nieżyjących.

Może uda się trafić na Nivora, który był wesoły i gruby, lubił dobrze zjeść, a we wtorki prowadził Pułapki i Zapadnie. Teppicowi dobrze wychodziły pułapki i mistrz go lubił. A może przyjdzie Kompt de Yoyo od Języków Współczesnych i Muzyki. Teppic nie miał uzdolnień w żadnym z tych kierunków, ale Kompt był także zapalonym wspinaczem i lubił chłopców, którzy dzielili z nim entuzjazm dla wiszenia na jednej ręce wysoko ponad ulicami miasta.

Teppic postawił nogę na parapecie, odwinął linę z kotwiczką, zaczepił ją o rynnę dwa piętra wyżej i wysliznął się za okno.

Żaden skrytobójca nigdy nie korzysta ze schodów.



Nadeszła chyba właściwa chwila, by – dla uzasadnienia ciągłości akcji i późniejszych wydarzeń – poinformować, że największy matematyk świata Dysku leżał w tej chwili i spokojnie jadł kolację. Interesujące jest to, że ze względu na swoją przynależność gatunkową, matematyk jadł na kolację swój obiad.



Dzwony w całym Ankh-Morpork wybiły północ, gdy Teppic wspiął się na ozdobny parapet cztery piętra nad ulicą Filigranową. Serce biło mu mocno.

Ostatnie resztki blasku po zachodzie słońca oświetlały jakąś ciemną sylwetkę. Teppic zatrzymał się obok wyjątkowo obrzydliwego gargulca i rozważył sytuację.

Praktycznie pewna klasowa plotka głosiła, że inhumacja egzaminatora przed testem automatycznie gwarantuje dyplom. Chłopiec wysunął z pochwy na udzie nóż numer trzy i ostrożnie zważył go w dłoni. Oczywiście, każda próba, każdy pochopny ruch, który chybiał, powodował natychmiastową porażkę i utratę przywilejów*.

Sylwetka stała w absolutnym bezruchu. Teppic spojrział na labirynt kominów, gargulców, otworów wentylacyjnych, mostków i drabin, tworzących dachową scenerię miasta.

No tak, myślał. To jakaś kukła. Liczy, że ją zaatakuję, a to oznacza, że obserwuje mnie skądś.

Czy potrafię go znaleźć? Nie.

Z drugiej strony, może właśnie mam pomysłu, że to kukła. Chyba że o tym też pomyślał...

Zabębnił palcami o gargulca i szybko się opanował. Co w takiej sytuacji dyktuje rozsądek?

Daleko w dole hałaśliwa grupa, zataczając się, przeszła przez kałużę blasku na ulicy.

Teppic schował nóż i wstał.

– Sir – oznajmił głośno. – Jestem.

– Doskonale – odpowiedział niezbyt wyraźnie oschły głos tuż koło jego ucha.

Teppic patrzył prosto przed siebie. Mericet pojawił się przed nim, ścierając w kościstej twarzy szary pył. Wyjął z ust kawałek rurki, odrzucił ją i sięgnął pod płaszcz po notatnik. Mimo upału był grubo opatulony. Mericet należał do ludzi, którzy marzną nawet we wnętrzu wulkanu.

– Aha – mruknął. Jego głos wyrażał głęboką dezaprobatę. – Pan Teppic. Dobrze.

– Piękna noc, sir – rzekł Teppic.

Egzaminator rzucił mu lodowate spojrzenie, sugerujące, że uwagi o pogodzie natychmiast zyskują punkt ujemny. Zanotował coś.

– Najpierw kilka pytań – oznajmił.

– Jak pan sobie życzy, sir.

– Jaka jest maksymalna dopuszczalna długość noża do rzutów? – warknął Mericet.

* Prawa do oddychania, na początek.

Teppic zamknął oczy. Przez ostatni tydzień czytał jedynie Cordat; teraz widział właściwą stronicę, płynącą kusząco tuż pod powiekami. Nigdy nie pytają o długości i ciężary, powtarzali studenci. Liczą, że wykujesz na blachę długości, ciężary i odległości rzutów, ale nigdy...

Groza zwarła obwody mózgu i pamięć wrzuciła bieg. Stronica wyostrzyła się.

– Maksymalna długość noża do rzutów wynosi dziesięć grubości palca; podczas deszczu dopuszczalne jest dwanaście – wyrecytował. – Odległość rzutu...

– Wymień trzy trucizny nadające się do aplikowania przez ucho.

Dmuchnął wietrzyk, ale nie ochłodził powietrza. Przemieścił jedynie żar.

– Sir... Komarzy agar, achorionowa purpura i mustyk – odparł natychmiast Teppic.

– Dlaczego nie spim? – zapytał Mericet, szybki jak wąż.

Teppic otworzył usta. Przesząpił z nogi na nogę, unikając przenikliwego wzroku egzaminatora.

– S-sir, spim nie jest trucizną – wykrztusił w końcu. – To niezwykle rzadkie antidotum na jady pewnych węży, otrzymywane... – Uspokoił się trochę. Długie godziny poświęcone wertowaniu starych słowników, przyniosły jednak korzyść. – Otrzymywane z wątroby nadymającej mangusty, która...

– Co oznacza ten symbol? – przerwał mu Mericet.

– ...żyje wyłącznie w...

Teppic umilkł. Przyjrzał się skomplikowanym runom na karcie w dłoni Mericeta, po czym znowu wbił wzrok w przestrzeń za uchem egzaminatora.

– Nie mam pojęcia, sir.

Zdawało mu się, że słyszy najcichsze westchnienie, najdelikatniejszy ślad zadowolonego mruknięcia.

– Ale gdyby odwrócić ją dołem do góry, sir – podjął – byłby to złodziejski symbol, oznaczający „Halaśliwe psy w domu”.

Przez chwilę trwała cisza. Potem, tuż przy ramieniu chłopca, głos starego skrytobójcy zapytał:

– Czy garotą mogą posługiwać się wszystkie kategorie?

– Sir, regulamin mówi o trzech pytaniach – zaprotestował Teppic.

– Aha... Więc tak brzmi twoja odpowiedź?

– Nie, sir. To była tylko uwaga. Sir, odpowiedź, której pan oczekuje, brzmi: wszystkie kategorie mogą nosić garotę, ale tylko skrytobójcy trzeciego stopnia mogą jej używać, stanowi jedną z trzech możliwości.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, sir.

– Może się jeszcze zastanowisz?

Głosem egzaminatora można by smarować osie wozów.

– Nie, sir.

– Doskonale.

Teppic odprężył się nieco. Tunika przyłgnęła mu do pleców, chłodna i wilgotna od potu.

– Teraz z prędkością, jaka ci odpowiada, udasz się na ulicę Księgowych – przemówił spokojnym tonem Mericet. – Przestrzegając wszystkich znaków i tak dalej. Będę na ciebie czekał w komnacie pod dzwonnica na rogu Alei Audytu. Aha... Weź to, jeśli łaska.

Wręczył Teppicowi niewielką kopertę.

Teppic oddał pokwitowanie. Potem Mericet wstąpił w płamę cienia za kominem i zniknął.

Tyle jeśli chodzi o ceremonie.

Teppic odetchnął głęboko i wysypał na dłoń zawartość koperty. Był to czek gildii na dziesięć tysięcy ankh-morporkiańskich dolarów, wystawiony na „Okaziciela” – imponujący dokument, opatrzone pieczęcią gildii z podwójnym krzyżem i sztyletem w płaszczu.

Teraz już nie miał odwrotu. Przyjął pieniądze. Albo przeżyje, a w takim wypadku zgodnie z tradycją ofiaruje te pieniądze na fundusz pomocy wdowom i sierotom gildii, albo odbiorą ten czek jego trupowi. Czek miał trochę zawinięte rogi, ale Teppic nie znalazł na nim śladów krwi.

Sprawdził noże, przesunął pas z rapierem, obejrzał się i ruszył truchtem.

Przynajmniej tutaj sprzyjało mu szczęście. Według tradycji, podczas testów wykorzystuje się najwyżej pół tuzina tras; latem mrowił się na nich tłum studentów, wspinających się na dachy, wieże, okapy i kolumny miasta. Wspinaczka była popularnym sportem i dziedziną współzawodnictwa między internatami. Była też jedną z nielicznych dziedzin, w których Teppic radził sobie doskonale. Został

nawet kapitanem drużyny, która pokonała Dom Skorpiona w finałach Igrzysk Ścianowych. A czekała go jedna z najłatwiejszych tras.

Zeskoczył lekko z dachu, wylądował na parapecie, bez trudu przebiegł wzdłuż milczącego budynku, przesadził wąską szczelinę i znalazł się na dachówkach sali gimnastycznej Reformowanych-Kultystów-Ropiejącego-Boga-Shamharotha Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn. Przebiegł po spadzistym dachu, bez zwalniania tempa pokonał dwunastostopową ścianę i trafił na szeroki, płaski dach świątyni Ślepego Io.

Nad horyzontem wisiał pomarańczowy księżyc w pełni. Wiała bryza, niezbyt mocna, ale odświeżająca jak prysznic. Teppic przyspieszył, ciesząc się chłodnym podmuchem na twarzy. Zeskoczył z krawędzi dachu dokładnie na wąską, drewnianą kładkę ponad Aleją Błaszanej Pokrywki.

Którą to kładkę ktoś – wbrew wszelkim oczekiwaniom – właśnie usunął.



W takich chwilach całe życie przewija się człowiekowi przed oczami...



Ciotka płakała. Dość teatralnie, uznał Teppic, gdyż starsza pani była twarda jak podeszwa hipopotama. Ojciec wyglądał surowo i godnie – jeśli tylko o tym nie zapominał – i próbował usunąć z umysłu kuszące obrazy urwisk i ryb. Służba stała w szeregach wzdłuż sali, od głównego wejścia: podręczne z jednej strony, eunuchowie i lokaje z drugiej. Dygali kolejno, gdy przechodził, generując dość ładną sinusoidę, którą największy matematyk Dysku z pewnością by docenił, gdyby nie był akurat zajęty przyjmowaniem razów kija i słuchaniem krzyków małego człowieczka odzianego w coś w rodzaju nocnej koszuli.

– Ale... – Ciotka Teppica wytarła nos. – Ale to przecież fach...
– Nonsens, kwiecie pustyni. – Ojciec poklepał jej dłoń. – To profesja. Co najmniej profesja.
– A jaka między nimi różnica? – zaskąkała.

Ojciec westchnął.

– Pieniądze, jak rozumiem. Dobrze mu zrobi taka wyprawa. Pozna nowych ludzi, nabędzie oglądy... Będzie miał jakieś zajęcie i uniknie pokus.

– Ale... skrytobójstwo... Jest taki młody i nigdy nie przejawiał żadnych inklinacji... – Otarła oczy. – Nie odziedziczył tego po naszej części rodziny – dodała oskarżycielskim tonem. – Ten twój szwagier...

– Wuj Vyrť – wtrącił ojciec.

– Jeździ po świecie i zabija ludzi!

– Oni chyba nie używają tego słowa. Mówią raczej: konkluduje lub anuluje. Albo inhumuje. Tak słyszałem.

– Inhumuje?

– Inhumacja to chyba coś w rodzaju ekshumacji, o płynące wody, tylko że zanim cię pochowają.

– Uważam, że to okropne. – Pociągnęła nosem. – Ale słyszałam od lady Noonii, że tylko jeden chłopiec na piętnastu zdaje końcowy egzamin. Może rzeczywiście, pozwólmy mu się wyszaleć.

Król Teppicymon XXVII smętnie pokiwał głową i oddalił się, by pomachać synowi na pożegnanie. Nie był tak mocno jak siostra przekonany o okropnościach skrytobójstwa. Z ociąganiem, ale jednak od dawna zajmował się polityką i uważał, że choć skrytobójstwo jest gorsze od debaty, to jednak z pewnością lepsze od wojny, choć pewni ludzie uważają, że wojna to to samo, tylko głośniejsze. Trzeba też przyznać, że młody Vyrť zawsze miał mnóstwo pieniędzy i często przybywał do pałacu z kosztownymi podarkami, egzotyczną opalenizną i porywającymi opowieściami o ludziach, których poznał w obcych stronach, zwykle na krótko.

Żałował, że w tej chwili Vyrť nie może mu doradzić. Jego wysokość także słyszał, że tylko jeden student na piętnastu zostaje prawdziwym skrytobójcą. Nie był pewien, co dzieje się z pozostałą czterem nastką. Podejrzewał jednak, że marnych studentów w szkole skrytobójców spotyka coś więcej niż rzucanie w nich kredą przy tablicy i że szkolne obiady niosą z sobą dodatkowe zagrożenie.

Wszyscy za to zgadzali się, że szkoła skrytobójców gwarantuje najlepsze wykształcenie ogólne na świecie. Wykwalifikowany skrytobójca powinien umieć się zachować w każdym towarzystwie i grać przynajmniej na jednym instrumencie. Każdy inhumowany przez